

Dzikie jagody [opowiadanie]

Cegła, grabie, talerz – nigdy nie wiedziałam, co wybrać do zabicia dziecka. Zastanawiałam się, oglądałam przez szkło powiększające. Mierzyłam miarką. Żadne narzędzie nie wydawało się do końca dobre. Cegły okazywały się zbyt porowate i nieforemne, nie pasowały do ręki. Kruszyły się. Grabie? Za duże i pordzewiałe. Czyściłam je sproszkowaną ziemią i ługiem, ale wciąż pozostawały smugi.

Interesowała mnie stuprocentowa sterylność, szybkość i skuteczność. Tak, by po wszystkim zdążyć zetrzeć ze stołu i podać na czas kolację. Dziecko tymczasem rośnie, choć nadal nie znajdowałam w sobie stuprocentowej zgody na to, by żyło. Leżało sobie, czasem kwiliło. Dawałam mu jeść, kąpałam w dębowej wanience i zdejmowałam błonę z oka, która wciąż narastała. Czasem się bało – bało czegoś, co stało za mną. Głupawe – po co obawiać się czegoś, co nie istnieje? Raz już, już prawie. Samo południe. Cisza. Talerz idealnie wyszlifowany na brzegach, w niebieski rzucik. Dobrany rozmiarem i fasonem, wszedłby w dziecko jak w masło. Za długo zajmowałam się oglądaniem perfekcyjnie wymalowanego wzorku. Gdy wreszcie przyłożyłam brzeg talerza do jego twarzy, zobaczyłam zwisające nade mną włosy. Wokół zebrali się ludzie. *Nikt nie wyprawia skór tak pięknie, jak pani. Staliśmy u brzegu polany i nie chcieliśmy przeszkadzać, jak rozmawia pani z dzieckiem. Ach, te dzieci – zagaili.* A czort was przysłał, wycharczałam. Zamarli. No, co jest, przecież dom na polanie nie znaczy dom na koziej nóżce, nie bójcie się.

Usiedli i wypili dzban mleka, opowiadali o długiej, pełnej wybojów i dzikich pszczoł drodze przez las. Dałam im najlepsze kozłe skóry za najniższą cenę, tak mnie skołowali.

Dziecko zaczynało hasać po polanie, pozwalałam nago, w końcu bardzo rzadko ktoś tu zaglądał. Z odbiorcą skór widywałam się raz w miesiącu – zawsze przyjeżdżał o tej samej porze i wymieniał ze mną te same uwagi, pakując towar. Wyrobiłam już sobie markę, żyłam spokojna o dostatni byt. Tak cieniutko wygarbowanych skór, w dodatku zawsze na czas, nie robił tu nikt. Niezapowiedziani detaliści, którym ktoś mnie polecił, trafiali się raz na ruski rok. Więc dziecko pełzało, gdzie chciało, byle nie przeszkadzało mi w pracy i spontanicznej kontemplacji wszystkiego, co pięknie wykończone – kłosów traw, żyłek w liściach, sęków w podłodze czy struktury rozbitych jajek. Nieforemny kadłub chwiał się na przykrótkich nóżkach, dziecko potykało się, wchodziło w chaszczę i gówna. Szorowałam je potem szczotką. Karmiłam chlebem z pieca i maślaną. Nie miało źle. Już od rana patrzyło na mnie wielkimi oczami i laziło za mną, jakby nie mogło sobie miejsca znaleźć. Z czasem zaczęło być rozumne, a nawet przydatne – cesało owce, suszyło ryby i owoce. Chciałam mu pokazać, jak wyrobić ciasto na chleb, chwyciłam je przypadkiem i poczułam, że jego ciało staje się ziarniste. Konsystencja skóry, zapach się zmienia. Czy było chore? Drapało się po klatce piersiowej, nie pozwoliło obciąć zawszawionych włosów. I stało się niesforne, na co się nie zgodziłam i po kilku dniach bez maślanki zrozumiało, jak należy się zachowywać, by jeść. Wyszło spod podłogi grzeczne, ale odmienione – dwa monstrualne wyrzuszenia na przodzie, co to do cholery ma być? Gdy pomiędzy nóg pociekła mu krew, zrozumiałam – moje dziecko jest kobietą.

I znowu trzeba było zmienić przygotowywane narzędzia na większe i zacząć nad nimi pracę. Już nie zebrane przypadkiem odłamki, a specjalnie kupione, duże cegły, nie grabki, tylko wielkie grabie, a zamiast talerzy – dębowa wanienka. Dobieranie, czyszczenie, ćwiczenie nadgarstka ręki, czekanie na dogodny moment – wszystko od początku, po nocach.

Któregoś wieczora przyprowadziła z lasu mężczyznę. Barczystego i zarośniętego. Uwili sobie leżankę w rogu pokoju i tam się położyli, nakryci źle wyprzebarwionymi skórami, które trzymałam w

piwnicy. Na śniadanie zjedli sery, które on przyniósł. Zerkali na mnie, ale jak na stół albo krzesło – gdzie je najlepiej ustawić, żeby spełniało swą funkcję, ale nie przeszkadzało. Po kilku dniach zobaczyłam w jej oczach pewność siebie, której nigdy wcześniej nie miała. Stała się bezczelna, wyjadając bez pytania miód i zapasy na zimę, panoszyła się i rozrastała. Nie przegnałam ich, bo on naprawiał dach, nosił z potoku wodę i umiał szybko rozpalać ogień. Ale szykowałam narzędzia także dla niego. Kto się zorientuje, że miałam córkę, równie dobrze mogłam przecież jej nie urodzić, prawda? On też mógłby równie dobrze się tu nigdy nie pojawić, czyż nie? Mam prawo mieszkać sobie sama, tak jak wcześniej, przez całe życie.

Prawdziwy powód jej obżarstwa i niezgrabności pojęłam przerażającej sierpniowej nocy, gdy nagle powiła dziecko. Bez pytania, w moim domu. Wrzeszcząc, wyrzuciła z siebie zakrwawiony worek i od razu go przytuliła. On, jak to teraz w modzie, odciął pępowninę i pielęgnował kobietę przez całe tygodnie. Prawie nie wstawiała. Nie męcz się chłopie, odpocznij, wykorzystuje cię. Sama dałaby radę – syknęłam mu kilka razy. Pokłócili się, poszedł w las, ale rano wrócił z wiechciowatym bukietem z wrzosu. Przestali się do mnie odzywać. Próbowwała nosić dziecko na rękach, ale jej wypadało, raniło się, czym się bardzo przejmowali. Wreszcie uwiązała je chustą na plecach i tak paradowała po polanie. Godzinami baraszkowali z dzieckiem przed rozpalonym kominkiem, niepotrzebnie marnując opał, oprowadzali bobasa po łąkach, zamiast puścić go wolno i zająć się czymś użytecznym. Posadziła za domem grykę i gotowała dziecku osobną kaszę. Zaczęłam ją uczyć obrabiania skór, bo zamówień było coraz więcej, a oczy już nie te. Czasem przez wiele godzin ślęczałyśmy wspólnie nad pracą. Starła się, choć wydawała się ciągle zmęczona.

Którejś nocy usłyszałam, jak wyszywa skórę niewłaściwą nicią. Idąc za odgłosem, zesłam do piwnicy. Jej mocne poślądki i pochylone ramiona zajmowały już prawie całe pomieszczenie. Rozrastała się, a ja się kurczyłam. Ledwie sięgałam głową do jej pleców. Ale jeszcze sięgałam. Cisza, pustka, wszyscy śpią. Moment, jaki rzadko się zdarza. Wymarzony. Ruch ręki wskazywał, że szyła naprawdę niedobrze. Chciałam jej podziękować za taką fuszerkę, gdy z ręki wypadł jej mały talerz. Mimo zmęczenia, podniosła go i szlifowała dalej. W kącie stały, ukryte, w połowie zardzewiałe grabie, stopy oparła na kawałku czerwonej cegły. Nie widziała mnie. Wycofałam się na palcach, tracąc po drodze kolejnych kilka centymetrów. Musiałam jej oddawać coraz więcej prac za dnia, nie dawałam już rady. Podejmowała je wszystkie, starała się. Zrobiło mi się jej żal. Wymykałam się w nocy do piwnicy i nim wstała czyściłam, szlifowałam. Kładłam się cicho, potem schodziła ona. Czy zauważała, że jest zrobione więcej, niż zostawiła? Czy dało się nie zauważyć? Jak bardzo była nieobecna i zmęczona? Za dnia nadal bawili się z dzieckiem, ubierali je, uczyli chodzić i śpiewać. Raz nawet zabrali je daleko, do miasta i do cerkwi. Gdy szli do lasu po owoce, małe chodziło za mną i wszystkiemu się przyglądało, o wszystko pytało. Dużo mówiło i rozumiało, szybko nauczyło się wyrabiać ciasto na chleb i dokładnie myć uszy. Ile zostało mu czasu? Narzędzia w piwnicy wyglądały na prawie skończone. Wreszcie usłyszałam w nocy coś innego niż źle prowadzoną igłę. Chrząst łamanego talerza i uderzenie o cegłę. Szczękanie grabi. Charkot. Wstałam i zapaliłam świecę. Wokół stołu znalazłam zrzucone ubranie i trochę krwi. Jej oczy błyszczały szalone, a ręce zataczały koła, drgały jak w padaczkę. Nogi rozprostowywały się i kurczyły. Jezus Maria, coś ty zrobiła, dziewczyno! Uderzyłam ją z całej siły w plecy, a potem włożyłam palec do gardła, by spowodować wymioty. Wypadło trochę kawałków porcelany w niebieski wzorek. Z ciała wyszarpywałam jej żelastwo z grabi, powbijane kolcami. Cegłę, w całości, dało się wyczuć w okolicach nerek, brzucha. Jakie pogotowie, to nie te czasy. Oblałam ją ziołowym spirytusem, potem wrzątkiem i dałam mocne zioła regenerujące. Usnęłam. Gdy wstałam rano, dom był pusty. Z upiornym bólem głowy, trzymając się mebli, zesłam po schodkach na polanę. Jej środkiem szła nadprzyrodzona istota. Z uszu wystawały jej grabie, pod cieniutką warstwą skóry błyszczała porcelana. Spod paznokci, z uszu, sypał się ceglany pył. Dziwowisko podtrzymywały dwie nieforemne istoty – nazbyt barczysty mężczyzna i dziecko o mocnych, mięsistych udach. Chodzili w kółko. Moja córka Anuska, mój zięć Alek i moja wnusia Ola. A ja byłam już tak maleńka, że nikogo,

nawet karalucha zapalką, nie mogłam zabić.

Pablo Pomado *

* dandys w aksamitnym garniturku, o lekko kobiecych rysach twarzy. Pewne jest tylko to, że ukradkiem zerwał się ze smyczy. Zaskoczony sytuacją węszy, czegoś szuka. Czasem wpada na salony i zjada wszystkie tartinki. Gdy inni nie patrzą, wciąż się przepoczwarza. Eksperymentuje, testuje odporność rzeczywistości na różne wersje samego siebie. Jeszcze nie wie, jaki kształt ostatecznie przyjmie, ale na pewno będzie informować o czynionych postępach.

--

Opowiadanie zostało opublikowane w "Kalejdoskopie" 03/20. Do kupienia w Łódzkim Domu Kultury (podczas kwarantanny instytucja jest zamknięta dla gości), punktach Ruchu S.A., Kolportera, Garmond-Press w salonach empik i łódzkiej Księgarni Ossolineum (Piotrkowska 181). A także w prenumeracie (w opcji darmowa dostawa do wybranego kiosku Ruchu): [TUTAJ](#)

Kilka dni dzieli nas od uruchomienia prenumeraty redakcyjnej - szczegóły w galerii pod artykułem.

Możecie też słuchać naszych najlepszych tekstów w interpretacjach aktorów scen łódzkich, z Łodzią i regionem związanych na platformie "Kalejdoskop NaGłos": [TUTAJ](#)